

SYNOWIE DOBREGO MIASTA

Gdzieś w Wielkopolsce

Dawniej ciągnęły tędy wozy ładowe kupców z południa, wracały zaprzęgi z Pomorza i Gdańska. Dzisiaj przez jarociński rynek mkną samochody zaopatrzeniowców ze znakami Gdańska, Katowic, Szczecina, Lublina. Nie zawsze wprowadziła downe, bo ten i ów tylko po śruby pędził ze Śląska do Poznania czy odwrotnie, ale dla Jarocina to bez różnicy. Z kupców był pożytek, bo tu wykładali na postój swoje towary, z zaopatrzeniowców i kierowników cieszy się nieraz tylko „Polonia”, restauracja - kawiarnia, schludna i niewielka.

Zresztą nie wiadomo nawet czy się z tego cieszyć, bo „z obcymi zawsze więcej kłopotu, a miejscowych klientów nie brak. Z kąci przy oknie przyglądam się wchodzącym. Jest czwarta po południu. Salka kawiarni pełna młodszych obywateli miasta — dziewcząt i chłopców. Dużo gwaru i ożywionych rozmów. Nie, nie będzie schematu: „przy sąsiednim stoliku dyskutowano zawzięcie o sprawach międzynarodowych”. Moi sąsiedzi śmiali się serdecznie z opowiadanych sobie dowcipów.

Z okna kawiarni widać ratusz. Tam przed godziną oglądałem rysunki na konkurs „Jarocin wczoraj i jutro”. Trzysta prac dzieci i nastolatków, różnych bardzo talentów, przedstawia miasta w przyszłości. Są tramwaje, wysokie domy, nawet metro i hotel z lotniskiem dla heliopterów. Jest kąpielisko, wielkie domy towarowe i kominy fabryczne. Pływania kryta z wysoką trampoliną pojawia się w rysunkach najczęściej. Może dlatego, że telewizja transmitowała niedawno mistrzostwa skoków z trampoliny? A może dlatego, że to już nie tylko sprawa wyobraźni?

„Pływalnię już budujemy, choć przed paru laty była ona tylko marzeniem. Cztery miliony będzie kosztować. Połowę daje Toto-Lotek, a resztę mieszkańcy, w składkach i pracy. Za dwa lata powinna być gotowa”. Przewodniczący Prezydium MRN Stefan Łyskawa jest zdania, że to jedna z największych potrzeb Jarocina. „Druga to ulice i drogi na przedmieściach i oświetlenie ulic, ale i z tym się uporamy, bowiem za postulatami mieszkańców idzie ich rzetelna pomoc”.

Troskliwość jarocinaków o miasto nie jest wynalazkiem przewodniczącego; jemu wszakże zawdzięcza się dynamiczną inspirację, dobre pomysły i umiejętność organizowania współpracy trójkąta: obywatele — zakłady — miasto. Wspominają tu, że już następnego dnia po wypędzeniu Niemców, 25 stycznia 1945 roku — zebrali się co aktywniejsi mieszkańcy i powołali do życia Tymczasowy Komitet Miejski i zaraz zabrali się do roboty. W pożółkłej „Księdze protokolarnej” są zapisy o organizowaniu przemysłowymi sposobami zaopatrzenia miasta w żywność, o uruchomieniu elektrowni, wodociągów i gazowni, o porządkach niezbędnych i zarządzeniach. Dzięki temu uratowano niejedno

społeczne dobro. Jest też inny zapis, z posiedzenia Rady Miejskiej, znanie dla owych lat (15. II 46):

„Zabiera głos por. ob. Kolb i zawiadamia, że w tej chwili otrzymał wiadomość, iż odnaleziono zwłoki funkcjonariuszy PUBP w Jarocinie — Tadeusza Polaka i Kazimierza Sikorskiego, zaginionych w ub. roku i zamordowanych w bestialski sposób przez bandytów spod znaku NSZ z powiatu ostrowskiego”.

Dzisiaj, dla nastolatków to już historia podobnie jak i historia są dzieje międzywojenne. Nie tak wprawdzie odległe, jak ta z jarocińskiego muzeum w zamku Radolińskich, bo tkwiła jeszcze w pamięci żyjących, ale przesłonięta dwudziestolecie i teraźniejszością, którym nieznane są pojęcia „manifestacja bezrobotnych pod magistratem”, „szarża policji na pochód pierwszomajowy”, „redukcja”, „zamknięta fabryka”.

Nie znam Jarocina tego sprzed trzydziestu laty, ale pamiętają go ludzie, przecież jeszcze nie starzy.

„Kto miał to żyć, a nawet dom budować. To prawda. Tylko ilu spośród dziesięciu tysięcy mieszkańców należało do tego grona? Trudno obliczyć, wobec tego powiedzmy inaczej: nie było tu żadnego choćby średniej wielkości zakładu przemysłowego, a jedyny dorobek miasta — o ile tak można się wyrazić — to młeczarnia spółdzielcza, młyn, tartak, stolarnia, dwa warsztaty mechaniczne i fabryczka papy. Razem może sto pięćdziesiąt nowych miejsc pracy, a w kolejce po nie...”.

147 samych uczniów mają Jarocińskie Zakłady Przemysłu Maszynowego Leśnictwa, a 800 osób — cała załoga. Na setki trzeba liczyć pracowników fabryki mebli, fabryki obrabiarek, zakładów odzieżowych, pięciu spółdzielni pracy, pomijając kilka innych — jak cegielnia, POM, rozbudowana wytwórnia papy. Na setki także liczą się wysoko kwalifikowani robotnicy, majstrowie, technicy. Tutejsi lub przyjezdni, drugie świadectwo Jarocina.

Nietrudno o wizję lokalną. U bramy „Maszynowego Leśnictwa” — jak mówią tu potocznie — dobre dwieście motocykli i rowerów, na co nie bez celu zwraca moją uwagę sekretarz POP, Tadeusz Hybiak. Ale to tak mimochodem, bo teraz o sprawie ważniejszej. Oto demonstrują mi bodaj największe osiągnięcie zakładu — pilę taśmową do cięcia dłużycy (zamiast tradycyjnego traka). Jeden człowiek za pulpitem sterującym wykonuje wszelkie niezbędne operacje; szybko obracająca się na ogromnym kole pila tnę błyskawicznie i precyzyjnie, na belki i deski — w dowolnych wymiarach — każdy praktycznie kłoc drewna.

— Oryginalne rozwiązanie — podkreśla sekretarz. — Dzieło naszego biura konstrukcyjnego, zwłaszcza inżynierów Koniecznego i Hoffy. Mówi dzieło, bez przenośni, bośmy produkcję obrabiarek do drewna — 8 typów strugarek i trzy rodzaje pil — rozpoczęli dopiero parę lat temu.

Do roku 1963 robiono tu tylko przyczepy samochodowe, produkt bądź co bądź toporny, o prostej technologii. Gdy w Zjednoczeniu zdecydowano, że trzeba się przestawić na obrabiarki — mocno kręcono głowami. Bo to tak, jakby przejść z klepania siekier na wyrób żyłek; trudno nawykłym do stosowania ciałówki brać do ręki mikromierz. Oba były słuszne, ale — jak często bywa przesadzone. Nie wzięto bowiem jednego pod uwagę: ambicji ludzi, tych z nadzoru technicznego i tych od maszyny. „Nie umieli czytać nowych rysunków — brali je do domu, nieczyli lekcje do odrabiania; brak było przyrządów — robili je sami”. Nie obeszło się bez kłopotów

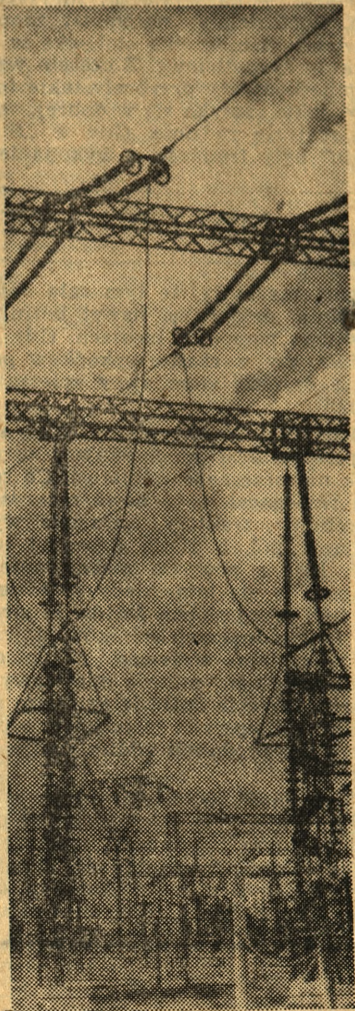
tygodnia

Nr 235

1. V. 1966

Rok VI

Elektrownia Konin



Fot. — K. Przychodźki

i tej nie najlepszej szkoły, gdzie naka odbywa się na błędach.

Najtrudniejsze mają za sobą. Ich obrabiarki wędrują nawet za granicę, a konstruktorzy mają czas na nowe pomysły. Sztabowi fabrycznemu z dyr. Kazimierzem Danielczykiem na czele, łatwiej nieco ustalać strategię i taktykę najbliższej pięcioletki. Dwa tysiące ludzi trzeba będzie ogółem zatrudnić w 1970 roku i dać nowoczesną produkcję wartości 300 mln. zł. Będą zapewne kłopoty z kadrą fachowców, choć dobry strateg myśli naprzód. Może dlatego 37 robotników uczy się w technikum, a 9 techników robi Politechnikę.

Jarociniacy mówią: ani to nowość, co pan zaobserwował, ani rewelacja. Wszystko co mamy, rośnie prawie z niczego, a na eksport ślemy także obrabiarki do metali i znakomite meble. Gdyby zliczyć wszystkich, którzy się uczą wieczorami...

Zmrok powoli osłabia tętno miejskiego życia. W oknach ratusza w gabinecie przewodniczącego Łyskawy pali się światło. Przy okrągłym stole radzą nad sprawą nowego osiedla domków jednorodzinnych. Są pierwsze problemy: na dwieście parcel złożono już znacznie więcej wniosków. Jak zabrać się do dzielenia, aby było sprawiedliwie i słusznie? Potem problemy renowacji kamieniczek w rynku, z czym kłopotów nie ma, bo choć są pieniądze — nie ma wykonawców. Krótki przegląd przygotowań do 1 Maja zamyka posiedzenie.

Jest dziewiąta. W kawiarni „Polonia” na przeciw ratusza nadal gwarno.

Fot. — K. Przychodźki

WYWALCZONE I NIEZWYCIEŻONE

Dziś, kiedy już dzień międzynarodowej solidarności mas pracujących stał się niemal na całym świecie do tego stopnia powszechną instytucją dorocznego święta, że starają się je przymilnie adoptować nawet najzagorzalsi przeciwnicy jego treści — tamte pierwsze obchody z ostatniego dziesiątka lat ubiegłego wieku, mogą wydawać się ba, mało imponujące, skromne. A jednak...

W roku 1890 apel Międzynarodówki o świętowanie dnia 1 Maja znalazł odzew w niewielu jeszcze tylko krajach. Była jednak wśród nich Polska — rozdarta przez trzy despotyczne potęgi i wtłoczona w granice carskiego, hohenzollernowskiego i habsburskiego wzięcia narodów. I jakkolwiek ów pierwszy, demonstracyjny obchód święta majowego na ziemiach Polski ograniczył się do samej Warszawy i jej okolic, miał weń swój kadrowy wkład także Poznań. Kierował bowiem ową akcją pierwszomajową działacz II Proletariatu, najściślej związany z Poznaniem. Współtowarzysze zwali go „Maciejem”, „Teofilem” lub „Olszewskim”. Carska ochrona — tropiąca go zażarcie lecz bezskutecznie od roku 1888, kiedy po ucieczce z pruskiego więzienia poznańskiego podjął znowu rewolucyjną działalność, tym razem na terenie zaboru carskiego — nazywała go „drugim Waryńskim”.

Po prostu — Marcin Kasprzak. W rodzinnych stronach Kasprzaka, w Poznańskim, które było rolniczą półkolonią II Rzeszy, i w samym Poznaniu, gdzie niedawno — u schyłku ery bismarckowskich ustaw kagańcowych przeciwko socjalistom — policja zaborcza przy nagonce rodzimych kolaborantów, dokonała pogromu organizacji socjalistycznej — 1 Maja 1890 roku nie zakłócił jeszcze „świętego porządku”. M. in. dlatego, że zarówno niemieccy jak i polscy obrońcy tegoż porządku, bojąc się — jak przyznawał „Dziennik Poznański” — że za strajkiem demonstracyjnym „choćbyby jednodniowym szlabem w tropy prawie nieuchronnie nie reforma, ale rewolucja społeczna, a może polityczna...” uczynili wszystko, by uniemożliwić obchód tego dnia. Na przykład w „Dzienniku Poznańskim” rozkolportowano 28 kwietnia 1890 roku następującą pogrozkę:

„Ponieważ agitacja za dniem 1 Maja nie ustaje, nie od rzeczy będzie przypomnieć robotnikom następujące przepisy:

1) wg ordynacji procederowej można robotników, czeladników itd., bez wszystkiego wywalić z obowiązku, jeżeli przed upływem zakontraktowanego czasu, bez uprzedniego wypowiedzenia pracy zaprzestaną;

2) wg świeżego wyroku Sądu Rzeszy podlegają na zasadzie § 110 niemieckiego kodeksu karnego karze pieniężnej w wysokości 600 marek lub więzienia do lat dwóch ci, którzy słowem lub pismem wzywają do zaprzestania pracy bez uprzedniego wypowiedzenia.”

Przeciwnicy 1 Maja odetchnęli wprawdzie kiedyś ta groźba zapobiegła demonstracji. Wprawdzie z niezadowoleniem odnotowywali w poufnych enuncjacjach, że jednak socjalizm dał znać o sobie. M. in. w postaci czerwonych sztandarów, pozatykanych na wysokich drzewach aż w kilku miejscowościach prowincji poznańskiej. Oficjalnie wszakże, na łamach ówczesnej prasy poznańskiej pocieszano się, iż „robotnicy tutejsi nie poszli na lep namów i obiecańk apostołów kosmopolityzmu” (Dziennik Poznański) lub nawet, że „u nas gruntu dla socjalizmu nie ma i nie będzie” (Orędownik).

✱

Już jednak następny 1 Maja miał zadać kłam przedwczesnym zapewnieniom. W roku 1891 „Dziennik Poznański” musiał przyznać:

„... socjaliści tutejsi obchodzili swe tzw. majowe święto. Dlatego zebrali się o godz. 3-ciej po południu na placu Bernardyńskim i uszykowawszy się w trójki, wyruszyli do parku Wiktorii... Policja przy ich wyruszeniu była licznie reprezentowana. Niemniej zebrano się wielu ciekawych. Po wyjściu za bramę (tzw. Dębińską Bramę) twierdzy, którą był czas jeszcze Poznań — ZS) śpiewali pieśni socjalistyczne — toż samo w parku Wiktorii.”

W ówczesnych warunkach pochod nie mógł być wprawdzie liczny. „Dziennik Poznański” ocenił maszerujących w nim na „co najwyżej 80 osób”. Konfidenci policyjni potrafiali tę liczbę.

Nie liczebność jednak była najważniejsza. Raczej ów fakt, iż grupa najbardziej zdecydowanych robotników przeciwstawiała się terrorowi. Ze przełamywała dotychczasowy jego system. Znamienna jest zresztą owa wzmianka o wielu ciekawych gromadzących się wokół pochodu, najwidoczniej sympatyków, wciąż jeszcze pozostających pod wrażeniem tych prześladowań, jakich doznawał ruch robotniczy w okresie poprzednich 13 lat trwania „ustawy antysocjalistycznej”. Nie włączających się jeszcze aktywnie do obchodu, ponieważ „policja była licznie reprezentowana”, a także polska burżuazja miała swój aparat donosielsstwa.

Poznański obchód majowy z 1891 roku został zresztą oceniony zarówno przez władze zaborcze jak i polskich oraz niemieckich działaczy klas posiadających, jako szczególnie groźny sygnał. Polscy posiadacze poculi się zobowiązani do nasilenia swej polityki ugodowej wobec zaborców. Z drugiej zaś strony nawet najbardziej polakożerczy junkrzy zniewoleni zostali widmem socjalizmu, zagrażającego wspólnym interesom klasowym — do chwilowego zawieszenia akcji germanizatorskiej. I jedni i drzy odczuli potrzebę stworzenia pod patronatem policji wspólnego frontu antysocjalistycznego. W lipcu 1891 r. powstało z inicjatywy obszarników obu narodowości „Prowincjonalne Stowarzyszenie do zwalczania usiłowań socjaldemokratycznych”.

Tylko, że nie pomogło już ani owo stowarzyszenie, ani nadal utrzymywany terror przeciwko robotnikom choćby podejrzewanym o socjalistyczne przekonania (wyrzucanie ich z pracy, szykany policyjne, wydalanie z Poznańskiego), ani wreszcie nagonka z ambon, nie cofająca się przed wezwaniem do organizowania pogromów. 1 Maja, jako dnia święta, z kalendarza poznańskiego już się nie dało wykreślić. W roku 1892 Poznań był znowu widownią podobnego obchodu święta robotniczego.

Zaś w roku 1893...

✱

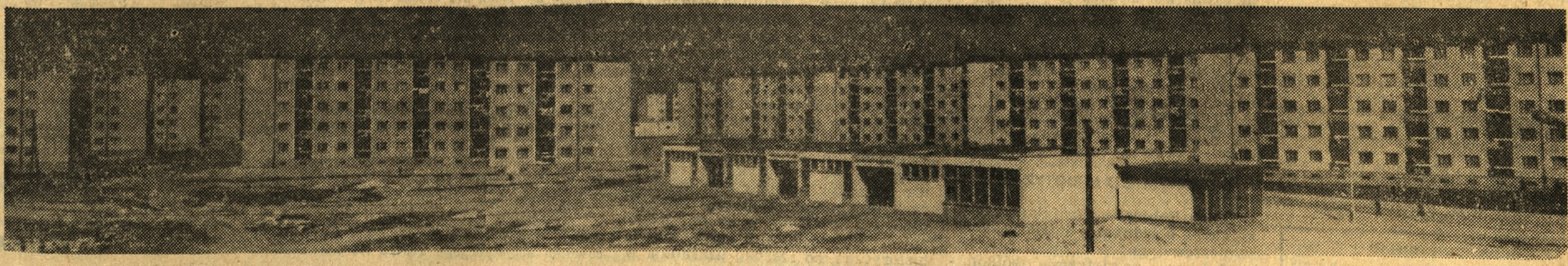
Tym razem przeciwnicy jakichkolwiek obchodów pierwszomajowych starali się storpedować wszelkie plany organizatorów działaniem podstępny, zaskoczeniem, taktyką faktów dokonywanych w ostatniej chwili.

Tłum robotników zgromadził się na Starym Rynku przed salą, w któ-

Dokończenie na str. 2

Poznań - Osiedle Świerczewskiego

Fot. — K. Przychodźki



WYWALCZONE I NIEZWYCIĘŻONE

Dokończenie ze str. 1

rej miał odbyć się wiec. Kiedy jednak właściciel nagle, pod terrorystycznym naciskiem policji zerwał umowę o jej wydzierżawienie — ruszył pochód, jakiego jeszcze nie było. Kilkuset ludzi — śpiewając „Czerwony Sztandar” — przemarszerowało przez całe śródmieście na Jeżyce. A kiedy policja, wciąż próbująca jeszcze przeciwdziałać, tam także uniemożliwiła odbycie uroczystego zebrania, przemarszerowano aż do Urbanowa, gdzie w podniosłym nastroju świętowano aż do nocy.

W owym roku 1893 proletariatus polski nie ograniczył się już tylko do obchodu zorganizowanego w czasie wolnym od pracy. Po raz pierwszy zaczęto także w Poznaniu wciągać w życie uchwałę II Międzynarodówki, proklamującą święto majowe jako dzień demonstracyjny, strajkowego wstrzymywania się od pracy. Ponadto nad świętującymi pojawiły się czerwone godła ruchu. Zdzierane przez policję — która aresztowała też kilka osób — a jednak już niewyciężone.

ZBIGNIEW SZUMOWSKI

do redaktora
Czytelniku

Jeszcze o zamku

W artykule: „Zamek na Górze Przemysław” są omyłki i nieścisłości. W interesie naszej młodzieży proszę uprzejmie o sprostowanie. A więc zamek w stylu gotyckim zbudowany został przez Przemysła I. Przemysław II urodził się na zamku w dniu 14. X 1257 r. Zamek został zniszczony przez pożar w dniu 2 maja 1536 r., a nie 1526. Pożar zniszczył kościół i klasztor Katarzynek oraz przeszło 200 domów, również ratusz i wykusze w murach.

Z poważaniem
inż. Ignacy Kaczmarek

OD REDAKCJI: Autorzy ostatniego Przewodnika po Poznaniu i Przeglądu Zabytków miasta Poznania I. Jasiecka i H. Kondziela w ślad za pracą zbiorową „Zamek książęcy w Poznaniu” znajdującą się w archiwum biura konserwatora miejskiego zgodnie datują powstanie zamku na Górze Przemysław na czwartą część XIII wieku, a konkretniej na rok 1288 lub lata bezpośrednio go poprzedzające. W zamku tym Przemysław II nie mógł się zatem urodzić. Przepuszczalnie urodził się on w starym zamku książęcym na Ostrowiu, odnowionym i rozbudowanym przez Przemysła I wkrótce po roku 1249, kiedy to definitywnie przeniósł on stolicę Wielkopolski do Poznania. W tym wypadku nie my, ale Pan popełnił więc pomyłkę. Jeśli chodzi o datę pożaru zamku to istotnie zakradł się u nas błąd, prawidłowa data brzmi 1536 a nie 1526.

Przeglądamy
Prasę

Wszystkie czasopisma zamieszczają publikacje poświęcone Świętu 1 Maja i 175 rocznicy uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Wypowiadają się publicyści, twórcy, naukowcy. Boguśław Leśnodorski w artykule „Ojczyznę wszelkimi... sposobami ratować...” zamieszczonym w „Polityce” omawia genezę ruchu patriotycznego ostatnich lat wieku XVIII i — na tym tle — dzieło Sejmu Czteroletniego. W zakończeniu artykułu autor nawiązuje do faktów przeciwstawiania w naszej historii

PIERWSZEGO I TRZECIEGO MAJA

W artykule przypomniano myśl wyrażoną na ten temat podczas ostatniej wojny przez wybitnego działacza komunistycznego Alfreda Lampego:

„Przeciwstawienie 3 Maja — 1 Majowi było dziełem tych, których ideałem było uczynienie z polskich świętości narodowych wysuszonych reliktów zaskankowego nacjonalizmu i odwrócenie ich od wzniesienia żywego, głęboko demokratycznego, ludowego podniebienia... Nasz 3 Maja jest nie przeciwstawieniem, lecz narodowym użyciem

Kiedy sześć lat temu zjawili się w kotlińskiej spółdzielni produkcyjnej przedstawiciele „Stomila” z ofertą współpracy, Stanisław Garsztka, który co dopiero z księgowego awansował na przewodniczącego spółdzielni, powiedział z nutką ironii: — No cóż, współpraca to dobra rzecz, tylko że my takich opiekunów z miasta mieliśmy już kilku. Przyszli, pogadali i na tym koniec. A my na pogaduszki zbyt wiele czasu nie mamy. Ostatnim takim „opiekunem” była Filharmonia z Poznania, ale nawet na trąbce ludzom nie zagrali.

Marian Karaśkiewicz i Mieczysław Wróbel ze „Stomila” żadnych cudów nie obiecywali. — Po prostu — mówili — będziemy się od czasu do czasu odwiedzać, posłamy wam, w miarę potrzeby, ekipy fachowców; z pewnością przyda się wam to i owo z fabrycznego sprzętu, który wycofujemy z użycia. Zresztą — poprobować nie zawadzi.

Tak zaczęła się współpraca „Stomila” z Kotlinem. Wówczas, w 1960 roku, kotlińska spółdzielnia nie przypominała jeszcze dzisiejszego, nowoczesnego gospodarstwa. Nawet owe wybrukowane opony do transportu konnego, o których wspominali stomilowcy, nie budziły większego zainteresowania, bo prawie wszystkie wozy posiadały koła na obrezkach. Kolektyw istniał już wprawdzie od 10 lat, ale upłynęło sporo czasu zanim okrzepł ekonomicznie. Poza ziemią i kołami, członkowie nie wprowadzili do spółdzielczej obory ani jednej krowy. Trudno więc było ruszyć z zespołową hodowlą. Nie było też czym nawozić pięćset hektarów uprawnych pól. Przez szereg lat prowadzono więc gospodarke ekstensywną, głównie zbożowo-ziemniaczaną. Dobrze było, jeśli udało się zebrać 70–80 kwintali ziemniaków i 16 kwintali zboża z hektara.

Taki stan najbardziej denerwował księgowego Garsztkę. Jako ekonomista lepiej od innych dostrzegł marnowanie z roku na rok szanse. Kalkulował i obliczał ile dochodu winno dawać takie gospodarstwo, gdyby poprowadzić je z głową, zgodnie z zasadami nowoczesnej agrotechniki. Marzył o wyprowadzeniu ludzi z czworacznych izb, o maszynach, które zastąpiłyby prymitywne metody w uprawie i hodowli. Ale do przeprowadzenia takich zmian

Feliks Bifos

Praca wzbogacona przyjaźnią

potrzeba wiedzy nie tylko ekonomicznej. Zapisuje się więc do zawodowego technikum rolniczego.

Wbrew początkowej niewierze, mecenat „Stomila” nad Kotlinem zaczął nabierać realnych kształtów, a z czasem prawdziwej przyjaźni, której dowody dawały obydwie strony. Fabryczne ekipy pomagały w remontach sprzętu rolniczego, przekazywano spółdzielni wycofane pojazdy, niektórzy urzędnicy warsztatowe, dostarczano środków transportowych przy zwrocie buraków cukrowych i — co było szczególną reweracją — na wycieczki turystyczne. Spółdzielnia natomiast zaopatrywała stomilowską stołówkę w artykuły żywnościowe. Z czasem wzajemne kontakty przybrały takie formy, jakie spotyka się w dobrej, szanującej się rodzinie. Gdy w „Stomilu” były trudności z wykonaniem

dniołka na osobę wynosi około 400, a nie brak i takich, którzy wypracują ich ponad 500. Oto cała tajemnica owych 33 indywidualnych domków, wzniesionych w ciągu paru minionych lat. Większość z nich wyposażona jest we wszystko, co powinno posiadać współczesne mieszkanie, z centralnym ogrzewaniem włącznie. Tylko kilka spółdzielczych rodzin mieszka jeszcze w czworakach. Ale budują się Kubiakowie, Szeferowie, Woźniakowie, kończą budowę Antczak i Waliszewski. Niedawni mieszkańcy czworaków marzą dziś o ich zburzeniu, aby zatrzeć ślady minionych czasów. I nikt by ich przed tym nie powstrzymał, gdyby nie mieszkali tam lokatorzy spoza spółdzielni.

Warunki życia kotlińskich spółdzielców trzeba mierzyć także osiągniętym przez nich poziomem życia

NA LINII „STOMIL” — KOTLIN

planu, martwiła się tym cała spółdzielnia, deklarując nawet bezinteresowną pomoc w ludziach. Gdy w żniwa, czy w czasie wykopków padają deszcze, stomilowcy spieszą z pomocą.

Kotliński kolektyw umacniał się i przekształcał w przodujący ośrodek nowoczesnego rolnictwa. Co roku wzbogacał się o nowe maszyny, kombajny, traktory, wzrastała wydajność pól, a z nią dobrobyt ludzi. Dziś z pewnym zażenowaniem wspomina się lata, kiedy spółdzielcy byli przedmiotem żartów ze strony indywidualnych rolników, którzy z poczuciem wyższości fundowali „kołchoźnikom” setkę w miejscowym barze. Obecnie spółdzielcy cieszą się opinią najlepszych gospodarzy, a poziom ich produkcji oddziałuje na okolicę.

Zamożność spółdzielni można mierzyć różnie. Tym, jak się wiedzie poszczególnym członkom i spółdzielni jako całości. Przeciętna dniołka w wysokości 65 zł mówi sama za siebie. Tym bardziej, że średnia roczna

kulturalnego. Na ten cel w Kotlinie nie żałuje się grosza. Dobrze wyposażona klubo-kawiarnia, sala widowiskowa, przedszkole, klub na pięterku byłego pałacu — wszystko to stwarza warunki dobrej rozrywki i wypoczynku. Własne zespoły przygotowują przedstawienia, przybywają też artyści-amatorzy z zewnątrz, a wśród nich najczęstszymi gośćmi są ZMS-owcy ze „Stomila”. Ale do największych atrakcji należą niewątpliwie wycieczki krajoznawcze. I tu znów pomoc stomilowców w postaci wypożyczanych autokarów, okazuje się nieoceniona. To dzięki nim wielu spółdzielców, zwłaszcza starszego pokolenia, mogło poznać najpiękniejsze zakątki kraju, zobaczyć Warszawę i Wawel.

Osiągnięty obecnie poziom życia wywarł u niektórych spółdzielców nastrój dosytny.

— My nie chcemy już wyższej dniołki — mówią przewodniczącemu — tylko nie każ nam więcej pracować. — A Garsztka z gronem członków zarządu wychodzą ze skó-

ry, by pobudzać ludzkie ambicje. Wskazują przede wszystkim na młodość, która garnie się do spółdzielni i pragnie wiązać z nią swe losy. Bo mimo istnienia na miejscu przetwórczości owoców i pobliskiej roszarni lnu, spółdzielnia wygrywa rywalizację o pozyskanie młodych. Tam można zarobić około półtora tysiąca złotych, tu — co najmniej dwa. Czesław Łyskowski i bracia Krawczykowski, którzy wrócili z wojska z II kategorii prawa jazdy, zostali traktorzystami, mimo propozycji pracy w mieście. Wrócili też do spółdzielni Mieczysław Bednarek, próbujący szczęścia w przemyśle.

Właśnie z myślą o młodych opracowuje się w Kotlinie plany dalszego rozwoju spółdzielni. Zmierzają one do przekształcenia Kotliny w spółdzielczy kombinat rolny, warzywniczy i hodowlany. Przejmie on kilka okolicznych spółdzielni o słabym poziomie gospodarowania. Od nowego roku przejęto już 127 ha gruntów PFZ w pobliskim Kurcewie.

Trudno dziwić się pewnym oporom, jakie przejawiają spółdzielcy przed przejściem ciężaru zdewastowanych gospodarstw z okolicznych miejscowości. Ale Garsztka rozstrzącha realne wizje wielkiego, nowoczesnego kombinatu, z Kotlinem — specjalizującym się w warzywnictwie i hodowli; Waliszewem — z bazą mieszczącą 400 opasów; Twardowem — z tuczem młodego bydła; Buchalincem — ze 150 maciorami i fermą brojlerów; Orpiszewkiem — z wielką bekoniarnią oraz fermą mleczną w Kurcewie.

Wszystko to wymaga milionowych nakładów, organizacji i pracy fachowców: rolników, mechaników, murarzy, cieśli, elektryków. Na razie montuje się własną brygadę budowlaną. Władze powiatowe sugerują też, by w oparciu o kotlińską spółdzielnię, filię POM i kółko rolnicze, stworzyć bazę sprzętu maszynowego dla okolicy.

Oto problemy, stanowiące przedmiot wspólnej troski — spółdzielców i ich przyjaciół, robotników ze „Stomila”.

Eugeniusz Pauksza

Różne dziedziny

Dziwnie pustawo i chudo zrobiło się na półkach z nowościami, nadmiar tuż przed kiermaszami książkowymi. Zazwyczaj w końcu kwietnia mieliśmy sporo wydawniczych rewelacji, w tym roku natomiast zapanowała nieoczekiwana posucha. Czyżby znów kłopoty poligraficzne w poszerzonym wymiarze?

Jeszcze się ukazują pozycje związane z 600-leciem Uniwersytetu Jagiellońskiego. Spod pióra Wacława Szelińskiej nakładem „Ossolineum” ukazała się interesująca (wcale nie wyjątkowa specjalistyczna) pozycja pt. „Biblioteki profesorów Uniwersytetu Krakowskiego w XV i początkach XVI wieku”. Autorka, w wyniku wielu lat studiów nad księgozbiorem profesorskimi u schyłku średniowiecza i początków ery nowożytnej, spojrzała na te biblioteki od strony szeregu zagadnień ogólnych. I tutaj wyłoniła się niejedna rewelacja, tytułowa takich zagadnień, jak wpływ wydarzeń tego kalibru, co sobory, reformacja, humanizm,

jak szerokie kontakty profesorów z ośrodkami kultury i nauki całego świata, jak wreszcie odbijające się na tym tle charakterystyczne przeobrażenia rozwojowe charakteru bibliotek.

Skoro już mowa o „Ossolineum”, informuję, że w ramach „Biblioteki Narodowej” otrzymaliśmy „Iliadę” Homera w nieśmiertelnym przekładzie Fr. Ks. Dmochowskiego, ze wstępem Tadeusza Sinki oraz Gabrieli Zapolskiej „Morainość Pani Dulskiej” w opracowaniu Tomasza Weissa.

Swego rodzaju rodzynkiem obdarzyło nas Wydawnictwo Poznańskie. Spod pióra Wojciecha Natansonu wyszedł tom szkiców „Stanisław Wyspiański — próba nowego spojrzenia”, będący ciekawą konstrukcją zsumowania wiedzy o autorze „Wesela”, uzupełnienia jej o nowe, istotne szczegóły wraz z interesującą, miejscami rzeczywiście w nową a wiarogodny sposób przeprowadzoną, próbą szerszej i śmielszej syntezy znaczenia Wyspiańskiego dla polskiej kultury. Natanson

najślusniej występuje o poszerzenie percepcji Wyspiańskiego, o wykorzystanie wyjątkowego ładunku emocjonalnego jego twórczości.

W PIW-ie ukazał się tom szkiców o poezji współczesnej Jacka Trznadła p. t. „Różne trzecie”, stanowiący, jak to określa autor, cząstkowe odbicie jego uczestnictwa w czytaniu polskiej poezji współczesnej w ciągu ostatnich lat dziesięciu. Bardzo to sumienne i wnikliwe czytanie, z uporem szukające nowych zjawisk i komentarzy do nich, życzliwe twórcom chociaż zarazem bardzo miejscami surowe. Trznadel sam umiarkowanie wyczuwając się w poezję, nawet tą „hermetyczną”, potrafi zarazem innym ukazując jej rzeczywiste wartości, troszcząc się o wydobywanie całego piękna i jego powiązań ze światopoglądem poety.

Kilka interesujących nowości ukazało się nakładem MON-u. I tak Zdzisław S. Pietras podjął w historycznej powieści „Sprawiedliwy z Wrocławia” próbę ukazania polskiej, XIII-wiecznej tradycji śląskiej z centralną postacią mało właściwie u nas znaną, a szalenie interesującą władcy, księcia wrocławskiego Henryka IV Probusa, z jego koncepcjami zjednoczenia Polski i

madrą polityką na Śląsku, polityką ze zdecydowanym ostrzem antyniemieckim. Pietrasowi udało się ukazać sylwetkę książęcą w sposób nieszablony, mocno osadzoną w tle.

Do znacznie późniejszej historii sięga Władysław Terlicki w nowej swojej powieści „Spisek”, poświęconej najwybitniejszemu chyba przywódcy lewicy powstania styczniowego, dyktatorowi Warszawy, Stefanowi Bobrowskiemu. Terlicki skondensował akcję w jednym, ostatnim dniu życia Bobrowskiego, gdy ginie on w zdecydowanie prowokacyjnym pojedynku, on, krótkowidz, myśliciel, typowy intelektualista. Ta kondensacja wyszła utworowi na dobre, zezwalając na stworzenie zwartej, dynamicznej całości.

Na zakończenie chciałbym zanotować ukazanie się użnawienia w jednym tomie pt. „Potem nastąpi cisza”, znanych i chyba jednym z najsilniejszych i najgłębiej napisanych powieści związanych z dziejami Drugiej Armii WP — „Zanim przemówię” i „Potem nastąpi cisza” Zbigniewa Safjana.

Z książką na ty

pełnieniem posiadającego ogólnoludzkie znaczenie i światowe obywatelstwo Święta — Pierwszomajowego”.

Podobny temat porusza „Kultura” w artykule wstępnym, „Dzień pierwszy i dzień trzeci”, w którym czytamy m. in.

„Dzień Pierwszego Maja jest przeglądem tego, co już zrobiono i co zrobić jeszcze należy, jest niejako gospodarskim obrachunkiem, co roku, mimo wszystko, radościjszym. Trzeciego Maja rozpoczynają się Dni Oświaty Książki i Prasy. Czyż może być piękniejszy hołd złożony twórcom Konstytucji Majowej? Jest to dzień, gdy skłonni jesteśmy zadumać się chwilę nad historią. Nad drogą, którą przebył nasz naród od owego dnia majowego, gdy Konstytucję uchwalono”.

Ten sam artykuł zwraca uwagę na to, że:

„Próba przeciwstawienia dzisiaj Konstytucji Trzeciego Maja tradycjom święta Pierwszego Maja, jest nieczym innym, jak jeszcze jedną próbą przeciwstawienia dawnej historii państwa polskiego, historii i osiągnięciom Polski Ludowej.

O JEDNYM Z PATRIOTYZMÓW

Celina Bobińska w artykule „Okazyjnie — o jednym z patriotyzmów”, zamieszczonym w „Życiu Literackim”, pisze o patriotyzmie ogólnona-

rodowym jako o jednym z najbardziej dynamicznych składników społecznej świadomości narodowej. Przypomina w związku z tym postacie niepodległościowców polskich, którzy uparcie przez 100 lat walczyli z mirażami Polski szlacheckiej, po pychając nas na drogę nowoczesnych ruchów, nowoczesnych form ustrojowych.

W OPARCIU O JEDNOŚĆ

W szkicu — pt. „Niemcy i Polacy w Watykanie” — Edmund Osmańczyk przypomina w „Polityce” fakt, który — jak pisze — niedostatecznie sobie na co dzień uświadamiamy, że w Watykanie, dziś jak i wczoraj, o wiele większy wpływ ma episkopat niemiecki, niż polski. Autor zadaje też pytania: czy polityka Watykanu musi być tradycyjnie wroga w stosunku do Polski? Czy episkopat polski musi być w Watykanie tradycyjnie już słaby i zależny od dominujących tam niemieckich prałatów? W przekonaniu Osmańczyka ani jedno, ani drugie nie jest już koniecznością historyczną, co szeroko uzasadnia w

swojej publikacji. Autor porusza też problem jedności narodu wobec Watykanu.

„O jedność narodu — czytamy — opiera nas rząd swą politykę zagraniczną i ta jedność musi kształtować nasze stosunki z resztą świata i utwierdza co dzień granicę na Odrze i Nysie. To samo musi dotyczyć Watykanu i to tylko zmiany w moim przekonaniu stanowisko Stolicy Apostolskiej do Polski na wreszcie pozytywne, kiedy w Polsce nie będzie ani kardynałów, ani biskupów ani księży, którzy w zaślepieniu utrzymują niemoc polską w Watykanie. Co więcej, jestem przekonany, że kiedy Stolica Apostolska dokona rewizji swej katastroficznej polityki europejskiej, będzie to korzystne nie tylko dla Polski i wszystkich narodów Europy, ale także dla uniwersalnej wreszcie pokojowej roli Kościoła katolickiego w atomowym świecie”.

„Tygodnik Kulturalny”, który od czterech lat drukuje „Słownik polskich pisarzy współczesnych”, rozpoczyna obecnie druk cyklu poświęconego innym dziedzinom kultury. Jest to seria artykułów zatytułowana „Twórcy kultury polskiej”. Redakcja zapowiada druk sylwetek (informacja biograficzna oraz esej) wybitnych twórców współczesnych z dziedziny sztuki plastycznej, muzyki, teatru, filmu, architektury, a także nauki, ze szczególnym uwzględnieniem nauk humanistycznych. W bieżącym wydaniu Maria Czernerka omawia twórczość Kazimierza Dejmala, obecnie dyrektora i kierownika artystycznego Teatru Narodowego

go w Warszawie. „Współczesność” rozpoczyna druk wypowiedzi pisarzy, zajmujących się w swej twórczości problematyką historyczną. Cykl zatytułowany „Literatura i historia”. Jako pierwszy wypowiada się Ludwik Hieronim Morstin w publikacji „Stosunek pisarza do twórcy, które znajduje w historii”. To samo czasopismo drukuje tekst wiodącego telewizyjnego (chyba po raz pierwszy w naszym czasopiśmiennictwie) napisanego przez Jerzego Krasowskiego: jest to dramat z roku 1791 pt. „Trzeci Maja”.

Dr Janusz Rohoziński, przypominając na łamach „Tygodnika Demokratycznego” dzieła polskiej literatury patriotycznej — od utworów Kochanowskiego aż po pisarzy współczesnych — upomina się o patriotyczne zaangażowanie literatury.

Stefan Bratkowski i Maciej Wierzyński zamieszczają w „Kulturze” list do dwudziestolecia zatytułowany „Popatrz na siebie inaczej”. Autorzy zastrzegają się, że ich list ma charakter dyskusyjny; chodzi bowiem o to, by rozpocząć nim dyskusję, a co najmniej sprowokować dyskusję do zastanowienia się nad tym, co w naszym kraju można by ulepszyć. „Szpilki” drukują wiersz poznaskiego satyryka Juliana Mikołajczaka pt. „Przypomnienie”, w którym autor przypomina niektóre zbrodnie hitlerowskich faszystów, po czym tak kończy:

„Choć to nie pełen rachunek sumienia, ileż tych grzechów... do wybaczenia!”.

LEKTOR